

SZKLANA MELPOMENA

JAK oglądać „Makbeta”? Jak rozumieć „Makbeta”? We współczesnym obiegu istnieje przynajmniej tuzin formułek. Mechanizm władzy? Koszmar egzystencji? Immanentne brudy zajęcia zwanego polityką? Kraksa ambicji z wyobraźnią? Rebajło pantoflarz w rękę ambitnej samicy, nie mogącej się gdzie indziej wyładować, bo jej kołyska jest pusta?

Można tak, można inaczej, można... A właśnie, czy można podzielić się własnymi wrażeniami z telewizyjnego przedstawienia „Makbeta” z dnia 25 sierpnia 1967 r., będącego przeniesieniem spektaklu krakowskiego Teatru im Słowackiego w reżyserii Lidii Zamkow?

Synteza tych wrażeń jest tytuł tego felietonu. Makbet — czyli nadzieja policjantów.

*

Trzeba zacząć od zbrodni doskonałej. Ogromna większość znawców kryminalistyki i kryminologii jest

zbrodnia jest wyzwaniem na pojedynkę z całą tradycją i teraźniejszością, pojedynkę, w którym zbrodniarzowi przeciwstawia się wszystkie argumenty siły i cała siła argumentu.

Straszny wysiłek, którego sensu zbrodniarz prawie nigdy nie rozumie, ale zawsze odczuwa. I to się daje ustalić w kategoriach bardzo ścisłych. Mianowicie: w ilości i jakości popełnianych błędów „sztuki zbrodniczej”. Zbrodniarz skazany jest na błąd z taką samą, a może i większą nieuchronnością, jak na wyrzuty sumienia.

Właśnie to, zdaniem niektórych fachowców, tłumaczy nam czemu nie ma zbrodni doskonałej.

I właśnie ten wątek z niezwykłą siłą dał się odczuć w przedstawieniu Lidii Zamkow. Tu troszkę rzecz cała odskakuje od schematu. Już nie wiem kto proponował, żeby zmienić tytuł tej sztuki Szekspira: nie Makbet, ale Lady Makbet. Ze

mna stronę, właśnie ten koszmar, tę potworną logikę, która powoduje, że jedno zabójstwo pociąga za sobą następne i tak aż do masowych zbrodni. Tutaj po raz pierwszy ujawnia się optymistyczne sprzeczanie zwrotne; zbrodnia wydzielająca z siebie substancję, która ją samą ujawni, ukarze i unicestwi.

*

I tak prawie wszystko idzie — darujcie nieco cyniczne, ale prawdziwe stwierdzenie — do happy endu. Ale oto i niedobre pęknięcie w finale.

Wszystko się kończy. Zamek zdobyty. Zbrodniarz ukarany śmiercią. Nowy król przejęty najlepszymi chęćmi ma niedługo objąć sprawiedliwe rządy.

I cóż to? Te same więdźmy, które Makbeta pchnęły na wiadomą drogę — stają przy nowym królu. Pierwszy raz widziałem w przedstawieniu więdźmy tak umiejjetnie, tak nowoczesnie wkomponowane w całość; żaden świat nadprzyrodzony, żaden wątek baśniowy — nic z tych rzeczy; to po prostu co tkwi w drgnieniach myśli i poruszeniach wyobraźni człowieka, tylko że zobiektywizowane, uprzedmiotowione, jak zapis encefalografu, jak perforowany papier maszynowy do badania prawdy. Doskonale pomyślane, doskonale rozegrane, ale...

Ale właśnie, co one robią w finale? Obejmują nowego władce. Wdzięczą się do niego. On zaś spogląda na nie, pochyla się i coś jakby nic porozumienia, nie taka wprawdzie, jak z Makbetem, bo to jeszcze nie ten etap, ale podobna, zapowiadająca się groźnie, przekreślająca cały „wydzwięk happy-endowy”.

*

Skąd my to znamy? Oho, znowu Jan Kott kłania się. Wiadomo: Immanecja brudów politycznych. Władza to straszne świętstwo, ledwo skończył się jeden mroczny rozdział, a już — patrzcie, patrzcie — więdźmy od pychy, egoizmu i zbrodni — wdzięczą się do następcy. Da capo al fine!

Ileż nieludzkiego jest w tym złośliwym pesymizmie! Nie było w dziejach ludzkości władzy doskonałej, czyż to jednak ma oznaczać, że być nie może, a wysiłki nasze podejmowane w imię zapewnienia ludziom trochę lepszej i trochę sprawiedliwszej władzy, mają być nie tylko daremne, nie tylko bezsensowne, lecz także nosić mają znamiona groteskowego samozłudzenia?

To nie jest takie pewne, czy ludzki wysiłek nie może doprowadzić, w dającej się określić przyszłości, do nieco lepszej władzy, na nieco dłuższy okres czasu. A jeśli nawet rezultatem naszych wysiłków będzie coś bardzo skromnego: dwadzieścia, trzydzieści lat względnej sprawiedliwości, względnej spokojności, względnej praworządności? To co? Czy to nic nie znaczy? Czy ta stawka — bardziej niż Parvz i bardziej niż kura w rosale — nie jest warta mszy? Czyż taka suma odwróconego zła, uratowanego cierpienia, udaremnionej krzywdy — już nic nie jest warta, dosłownie nic, nawet tej krztyny optymizmu, która daje nam do zrozumienia, że nie ma zbrodni doskonałych i Makbet musi przegrać i Hitler musiał przegrać, a ci, którzy ich pokonali — nie muszą przegrać...

*

Stop, stop, z kim ta polemika? Uspokóje się: nie podnoszę swojej tłustawej ręki przeciw Szekspirowi ani Kottowi, ani nawet Lidii Zamkow.

To polemika z własną nadzieją. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent sztuki myślałem, że ten krakowski „Makbet” będzie nie tylko nadzieją policjantów, ale także nadzieją wszystkich słabych, skrzywdzonych, cierpiących, dla których ważne jest nie tylko to, że zbrodnia doskonała jest niemożliwa, lecz i to, że możliwy i sensowny jest wysiłek na rzecz tego, aby zbrodnia się nie powtórzyła względnie nie powtórzyła się predko. Myślałem, że zabrzmiał nowy oryginalny ton. Zabrzmiał, a jakże, ale tak gwałtownie zduszono go w finale... Nic zatem z mojej nadziei, jest tylko nadzieją dla policjantów — że każda zbrodnia można wykryć i ukarać. A zapobiec?

JERZY MILEWSKI

MAKBET CZYLI NADZIEJA POLICJANTÓW

zupełnie zgodna co do tego, że zbrodni doskonałej nie ma. Jeżeli pewna ilość — znaczna zresztą — pozostaje poza karcącym ramieniem Temidy — to nie dla doskonałości zbrodni, ale z powodu niedoskonałości ścigającej ją policji. Tu się kończy zbieżność poglądów, a zaczyna się kontrowersja.

Dlaczego nie może być zbrodni doskonałej, zbrodni nie do wykrycia? Podobnie wojskowi zgodni są także co do tego, iż nie ma twierdzy, której by nie można było zdobyć i podobnie kontrowersja zaczyna się w punkcie, gdy pytamy, dlaczego tak jest.

Przychyliam się do tej rozpowszechnionej tezy, że zbrodni doskonałej nie ma, bo zbrodniarza — w tej czy innej fazie, w tym, czy tamnym szczególe — zawodzą nerwy. Spróbujcie sforsować mur wysokości — dajmy na to 25 metrów! Najlepsi dostaną zadyszki, a wyczerpane mięśnie nadadzą ruchom chwiejność wywołującą błędy. Sforsowanie granicy zbrodni — niezależnie od innych wysiłków związanych z samą techniką jej popełniania — samo przekraczanie granic dopuszczalnego stanowi ogromny wysiłek, o wiele większy od tego, jaki mięśniom i płuciom narzuca forsowanie najwyższego muru czy najszerzej rzeki. Ta wyobraźnia zdzierająca się z całej historią i współczesnością doświadczenia ludzkiego; wszak mówiąc trochę patetycznie

ona jest tutaj spiritus movens, że cherchez la femme i tak dalej. Z pewnością można i tak, jak można na kilkadziesiąt jeszcze innych sposobów. Na przykład przedstawienie Teatru Polskiego w Warszawie z Niną Andrycz w roli tytułowej skonstruowane było właśnie na tej zasadzie; piszę troszkę o tym w swojej „Wielkiej Szansie”.

U Lidii Zamkow (która sama jest Lady Makbet) nie kobieta, ale mężczyzna, zgodnie z tytułem Szekspira, jest na planie pierwszym. To coś więcej, niż szlachetna skromność podobno despotycznej reżyserki.

To coś więcej aniżeli pewna koncepcja grania tej sztuki, tak bogatej, a więc tak dopuszczalnie wieloznacznej. To — proszę wybaczyć mocne określenie — rodzaj światopoglądu politycznego.

Po pierwszych bowiem kilkunastu minutach już wiemy coś więcej niż to, o czym napisał Jan Kott. To nie tylko koszmar władzy. To nie tylko doświadczenie nieludzkości polityki. Wiemy mianowicie, że zbrodnia musi, ale to tak, jak dwa a dwa cztery, skończyć się zagładą tyrana. Noce bez snów, myśli którym ginie perspektywa, uderzenia serca, którym odebrano nadzieję. Morderca zabija sam siebie, staje się coraz bardziej nieudolny, błędy, gafy, utrata zwolenników, sojuszników, przyjaciół. Skazanie na usługi tych, którzy służą ze strachu lub prymitywnego łaknienia zysku, ale zawsze z wewnętrzną pogardą, nigdy z choćby gramem przekonania, bez którego nie ma prawdziwie ludzkiego skutecznego działania.

Patrzac na kreację Leszka Herdegena, przypominałem sobie niezliczone opisy Hitlera. Jak był bezustannie proszki uspokajające, które niszczyły jego organizm. Jak długo w noc nie mógł zasnąć. Jak po pewnym czasie zaczął popełniać jakieś nieludzko absurdalne błędy w decyzjach politycznych i wojskowych. Trevor — Roper przesadza z pewnością, włączac to wszystko z osobą lekarza szarlatana.

Nie, to nie była sprawa dr. Morrella. To właśnie jest ta „nadzieja policjantów” — że zbrodni doskonałej nie ma i największym nastrożniejszym przeciwnikiem zbrodniarza jest on sam, jest zwrotne działanie jego zbrodni w mózgu, sercu i wyobraźni, które na zewnątrz objawia się w błędach, w pomysłach, w absurdzie ścigającym absurd.

*

Cóż, więc tragedia optymistyczna? A tak, tak właśnie śmiem twierdzić. Dotąd — po wojnie — akcentowano w „Makbecie” tę cie-